

## Piasek w wazelinie

*Los Angeles, give me some of you! Los Angeles come to me the way I came to you, my feet over your streets, you pretty town I loved you so much, you sad flower in the sand, you pretty town.*

John Fante, *Ask the dust*

Wysiadłam na Pershing Square o 21 i nie wiedziałam w którą stronę pójść. Ulice były puste, palmy szumiały cicho wytrząsając z koron resztki ciepłego dnia. O tej porze było już zimno, chociaż dalej pachniało słońcem. Pamiętałam, że mam dotrzeć na 4th, a stałam na 5th. Nie wiedziałam od której strony liczyć ulice, więc poszłam przed siebie. Stukot ciągniętej za mną walizki odbijał się głośnym echem między zabudowaniami, które stawały się coraz niższe. Po przeciwległej stronie ulicy zobaczyłam rozbity wprost na chodniku namiot, co z podziwem uznałam za szczyt nonszalancji (to było zanim zorientowałam się, że Los Angeles to miasto wariatów, Los Locos), ale paręnaście metrów dalej chodniki stały się nieprzechodnie i zabłądziłam w *tent town*, pytając o drogę i płacząc się między szmatami i patchworkowymi domostwami z kartonów, ciuchów i śmietników. Tylko co szczęśliwsi mieli namiot. Reszta spała wprost na ziemi albo za parawanami skleconymi z siatek. Między tymi prowizorycznymi konstrukcjami stało nawet coś w rodzaju stołu didżejskiego zbudowanego z wózka sklepowego i pudeł, ze świecącymi lampkami choinkowymi zasilanymi nie wiadomo czym i grającym radiem do którego podstarzały Murzyn nucił coś niezrozumiale. Z każdym krokiem *tent town* gęstniało.

„You’re so sexy in those jeans with this gap between your thighs! Where ya goin’?”

Obejrzałam się. Jakiś cień zaczął gramolić się spod sterty śmieci. Zauważyłam później, że namiotowcy nawet siedząc na krawężniku w pełnym słońcu zawsze okutani byli w grube warstwy ciuchów.

„To where I sleep” odpowiedziałam ciesząc się z pierwszej nawiązanej w Stanach Zjednoczonych Ameryki znajomości.

„Can I go with ya?”

„No problem. Only I can't find the address.”

Pół ulicy natychmiast zainteresowało się moim problemem i wśród okrzyków zachęty i pozdrowień, wspólnie opracowaliśmy plan mojego dotarcia do domu, który był zresztą za rogiem.

„Hi, I'm Ewa” powiedziała dotarłszy na miejsce i w tym momencie poszła mi krew z nosa. Powinnam być zmęczona po podróży, ale byłam tylko niespokojna. Umyłam twarz i nos, a potem wyszłam na ulice, już teraz, od razu, o pierwsza noco w Los Angeles! Postanowiłam iść na drinka, ale każda z wybranych przez mnie ulic kończyła się albo budowlami drogowymi albo ciemnością, która nie sugerowała sąsiedztwa żadnego baru. Na Central Ave. migotał neon zwinięty w niebieską strzałkę i wskazujący w dół, więc zesłam do miejsca, które okazało się indiańskim knajpą, w której jakiś zespół szykował się do występu. Oprócz mnie było tam jeszcze może z 5 osób, przyjaciele grupy. Usiadłam przy barze i zamówiłam piwo. Indianka z pofarbowanymi na zielono włosami podała mi spienioną szklankę. Nade mną wisały amerykańskie flagi i sztandary z głową Indianina, a za nimi na szczycie baru stała perkusja zaraz obok rzygacza z Notre Dame. Po obu stronach wielkiego lustra w którym obserwowałam siebie, stały rzeźby naśladowujące tą z willi Tony'ego Montany; kobiece postacie obracająca na palcu kulę ziemską, tylko zamiast napisu THE WORLD IS YOURS wypisana była nazwa baru. Zespół grał country i co piosenkę sugerował zakup płyty. Dosiadł się do mnie jakiś dziad, trochę dotykalski, usiłował rozmawiać, ale nie dało się przez hałas. Potem poszedł do toalety i powiedział, że będzie *right back* z taką emfazą, że już go więcej nie zobaczyłam. Zamówiłam kolejne piwo, ale nic się nie działo i poczułam się zmęczona, więc wróciłam do domu. Ludzie siedzieli rozwaleni na kanapach pijąc kawę i piwo. Dookoła biegały psy i nie wyglądało na to, żeby udało mi się zasnąć w tej scenerii. Bruce i parę innych osób ogłosiło, że idą na piwo, więc pomyślałam sobie, że czemu nie. Dalej byłam niespokojna i nosiło mnie. Poszliśmy do warzelni piwa, ale zdążyliśmy wypić tylko jedno przed zamknięciem. Złorzeczyłam na Polskę z jakimś Francuzo-Amerykaninem wychowanym w Algierii. Zawsze daje się wkręcić w suczenie na mój kraj, ale co mnie wolno, to Algierczykom niekoniecznie. Potem na ulicy spaliliśmy jointa i przenieśliśmy się do baru z automatami, na których można było grać we wszystkie gry telewizyjne, w które pilnie łupałam za dzieciaka, ale nic nie pozostało z moich dawnych umiejętności. Graliśmy też w pinball, *there are different themes, you can choose one*. Wybrałam scenerię z haunted

house.

„Never seen anyone lose so bad” powiedział Bruce patrząc z niedowierzaniem na wynik moich poczynań. Przyjechałam pisać doktorat o scenografii i oto moja pierwsza scenografia, zaraz na wejściu. Przyjrzałam się tym stołom dokładniej, była tam masa detali, małe pajęczynki, zakątki pełne szczurów, tajemnicze komnaty. W knajpie było ciemno i ludzie grali bezmyślnie, nie sądzę żeby ktoś przywiązywał wagę do tego krajobrazu gry, ale gdyby nie on być może to granie nie byłoby takie przekonywujące. Chwyciłam Bruce’a za rękaw: „Just don’t lose me here or else I’ll never make it home.”

\*

Los Angeles jest okrutnym miastem. Pershing Square jest kalejdoskopem, znałam już te budynki, ale nigdy nic nie wyglądało tak samo i nie potrafiłam dwa razy pokonać tej samej trasy, nie gubiąc się po drodze, nie lądując w miejscu, które według moich poprzednich spacerów powinno być zupełnie gdzie indziej. Na Upper 5th trwała rewolucja, przy krawężnikach walały się sterty śmieci, serwetki, styropianowe opakowania z niedojezdzonymi resztkami obiadu, porzucone ciastka i butelki po napojach. Zatęchłe i skotłowane kawałki garderoby gniły między legowiskami rozstawionymi wprost na ulicy. 5th to co innego, tam nikogo nie było stać na namiot. W jedynym całodobowym sklepie stał ochroniarz z bronią, a sam sklep wyglądał jak wojskowy skład ze spożywczym zaopatrzeniem. Ulica śmierdziała siurami i z zaskakującym nawet mnie zainteresowaniem lubiłam przeglądać to uliczne menu. Jedli w sumie lepiej ode mnie. Ja trzymałam się z daleka od amerykańskiego żarcia; chleb miał konsystencję puchowej poduszki i był koloru pierza. W supermarkecie w Little Tokyo po godzinie 18 sprzedawali przecenione sushi, za cztery dolary można było zjeść porządną porcję, na co czekałam już od około 14.

Zamieszkałam się w czymś w rodzaju współczesnej hipisowskiej komuny. Zamiast piętrowych łóżek były tam piętrowe pokoje, które miały dwie ściany i materac. Niektórzy mieli małą szafkę z dwóch kawałków płyty pilśniowej, ale to tylko ci z dołu, a ja spałam na górze; przed upadkiem chroniły mnie metalowe pręty, które nadawały nieco więziennego klimatu, ale jednocześnie mogłam przez nie przewiesić ręcznik, co dawało namiastkę prywatności, której brak szybko zaczął mi doskwierać. Około północy gaszono światła i zapadała ciemność absolutna, w której słyhać było tylko szum

wielkich wentylatorów i rur zza ściany, nie wiem co tam robili. I to była cisza, ten szum. Jakby go wyłączyli, to nie wiem co by było, nie dałoby się oddychać. Od rana mój brzuch się wydierał z głodu, ale nie wstawałam, bo dalej nic nie było widać. Światła zapalali też według jakiegoś niejasnego dla mnie schematu, czasem o 9, czasem o 12. Bez światła, pomimo dnia, było dalej kompletnie ciemno, bo nie było żadnych okien, nie wiem czym był ten budynek, wielkim składem albo jakąś halą pofabryczną. Czasem kiedy już nie mogłam dalej zmuszać się do snu, świeciłam sobie telefonem i szłam do łazienki uważając, żeby nie spaść ze schodów prowadzących do mojego pokoju na górze. Były tylko dwie wiecznie zajęte łazienki na dwadzieścia parę osób i nikt nie spieszył się z myciem, więc po drodze szłam do przerobionego na kuchnię garażu, który był też przechowalnią rowerów i desek surfingowych. Zaglądałam do ogromnej chłodziarki, która odkupiona została chyba z kostnicy - długa i aluminiowa z leżącymi na jej dnie siatkami z jedzeniem, każdy miał swoją siatkę, a wszystkie były identyczne; zielone z napisem „market place”, bo wszyscy robiliśmy zakupy w tym samym japońskim supermarkecie. Wygrzebawszy wreszcie swoją, bo uprzednim przejrzaniu połowy z nich, z czego większość zawierała dużo bardziej interesujące produkty niż moja, zabierałam się do sporządzania sennego śniadania. W kuchni paliła się tylko sycząca, pomarańczowa lampka, dudniły rury i tu też nic nie było widać. Kiedy jadłam sadzone jajka z jogurtem, czasem ktoś w końcu podnosił wjazd do garażu i słońce ostrym cięciem przeganiało ciepłe chybotliwe światełko nie posiadające pory ani godziny i ustanawiało poranek lub wręcz południe i kęsało trochę chłodem, ale listopad w LA to dla mnie nic. Ubrawszy się i uczesawszy zastanawiałam się co by tu zrobić z tym dniem i bezwiednie liczyłam godziny do jego końca, którym była 22, bo w jakiś sposób o 22 zaczyna się dużo dziać, a nawet gdyby nic się nie działo, zawsze można iść spać z czymś w rodzaju poczucia, że się przeżyło kolejny dzień. Nie chciało mi się od razu iść do biblioteki, miałam na to za dużo energii, postanowiłam więc pojechać na Venice Beach.

\*

Moje myśli były czyste, albo wcale ich nie było. Chciałam mieć coś do pomyślenia. Stałam na Venice Blvd. w pełnym słońcu, wśród pudełek po El Pollo Loco oraz niedopałków i zastanawiałam się czy przyjedzie autobus. W końcu przyszli inni ludzie i czekanie razem dodało mi otuchy. Na Venice Beach były tłumy, ale na plaży pusto.

Kupiłam piwo i popijałam okutane w papierową torebkę. Było ciepło, miałam na sobie sukienkę odkrywającą nogi i ramiona. Weszłam do wody, przez chwilę była zimna, ale potem w porządku. To był mój pierwszy raz w oceanie. Czułam coś w rodzaju luksusowego smutku, trochę jak podczas podróży albo jak po seksie, kiedy zostaję sama. Wyobrażałam sobie ten ocean wiele razy, plaże Los Angeles też i to byłam ja i to było Los Angeles, takie jakim zawsze było, tylko marzenie się nie spełniło, a zostało wyżebrane. Wyżebrane marzenia smakują jednak trochę gorzej. Przyjechałam tu bez większego celu, jako nikt i nie było stać mnie na kąpiel w oceanie, ale i tak kąpałam się. Wszystko miało być inaczej.

\*

W bibliotece poznałam Jeda, „bardzo utalentowanego” aktora, który obiecał, że jeżeli pójde z nim na drinka opowie mi gdzie mogę znaleźć ciekawy materiał do mojej rozprawy i że pokaże mi Los Angeles, w którym mieszka od lat i że *we'll ride all over that bitch* autem. Pierwsza część obietnicy średnio mnie interesowała, ale drugiej nie mogłam się oprzeć, bo nie miałam samochodu ani nawet prawa jazdy, co przed wyjazdem wiele osób zaklasyfikowało jako szaleństwo, ale dawałam radę. Umówiliśmy się w The Alcove przy Hillhurst Ave. Facet napisał, że się spóźni i żebym zajęła stolik przy grzejniku, co mnie wkurzyło, bo było chyba z 20 stopni. Powiedziałam hostessie jaki potrzebuję stolik, więc zaprowadziła mnie wprost pod coś w rodzaju grzejącego grzyba. Zamówiłam zimne piwo i zdjęłam wszystko co się dało, ale tak, żeby jednak mnie nie wyproszone. Jed w końcu przyszedł, ale nie zauważył mnie i usiadł przy innym stoliku. Postanowiłam poobserwować go z oddali. Trochę się rozglądał i poprawiał ubranie. Kiedy złożył zamówienie zaczęła mnie nudzić ta zabawa, nie robił już nic ciekawego, a mnie przygrzewało coraz mocniej, więc w końcu podeszłam się przywitać. Wymieniliśmy uwagi o temperaturze, wietrze Santa Ana, a potem opowiedział mi, że właśnie rzucił heroinę, co było trudne, bo był związany z kartelem narkotykowym, a jego ojciec pracował w DEA, co dodatkowo utrudniało sprawę i w końcu na całą rodzinę został wydany wyrok śmierci. Musieli się przeprowadzić, jego ojciec rzucił pracę i został artystą malarzem, po czym pokazał mi w komórce jego obrazy. Przerzucałam fotki pobieżnie. Był niezadowolony, że nie podziwiam ich należycie długo. Przyjrzałam mu się. Wyglądał zupełnie na geja. Wydawał się też być większy niż w bibliotece. Kelnerka

przyniosła jego piwo i onion rings, obrzydliwe glisty w tłustej panierce.

„Best in town, gotta try them.” Z grzeczności poczęstowałam się, ale cebula się wymusnęła i w palcach została mi sama panierka. Zadowolona tym i nie ponawiałam prób konsumpcji. Zamówił drugie piwo.

„Can you drink that much when you're bout to drive?” zapytałam retorycznie.

„Oh, i don't own a car at the moment, I thought you had a car.”

Bardzo się zdenerwowałam i odechciało mi się trzymać fason. Wypiliśmy jeszcze kilka piw, a kiedy wyszliśmy, zapalił jointa i zaczął mi prawić komplementy, ale jakoś tak bez umiaru i zapewniać, że jest bardzo utalentowany i że ma genialny pomysł na powieść, ale że nie wie czy mi powiedzieć, no chyba że przysięgnę, że nikomu nie powiem i że sama go nie ukradnę. Powiedziałam, że nie mogę mu tego obiecać i odmówiłam zapalenia z nim, bo ta ich marihuana jest bardzo mocna, poza tym nie miałam ochoty się z nim zanadto spoufalać, chciałam iść do domu. Uparł się, że odprowadzi mnie na metro i upalony zdecydował się jednak wyjawić swój genialny pomysł, który polegał na spisaniu wiadomości tekstowych z komórki w formę epistolarnej narracji. Powiedziałam mu, że co semestr któryś z moich studentów wpada na taki pomysł, pomachałam mu i nigdy więcej się nie spotkaliśmy.

\*

Komuna w której mieszkałam była założona przez Elvinę, małą, zwinną i śniadą Rosjankę, która nie ustawała w robieniu nam zdjęć i sprowadzała do naszego lokum białe psy, nie wiem czy białe według jakiej zasady, czy przez przypadek. Jednego dnia rozmawialiśmy do rana pijąc na moim materacu. Byłam wstrząśnięta, potrafiła wypić prawie tyle co ja. Psami jak i całym dobytkiem zajmowała się Kyra, potężna i otyła dziewczyna, o mięsistych wargach przekłutych srebrnym kółkiem i tłustych kłakach. Miała właściwie zarost, chyba golony, ale możliwości jej owłosienia ujawniały się w pełnej krasie na skołtunionych rękach. Kyra nigdy nie zmieniała ubrania, dres opadał jej z tyłka, przy każdym kucnięciu odsłaniając głęboki rów pośladków, a uwalany jedzeniem i ogólnym brudem t-shirt pytał z jej pleców *why not?* Nigdy się do mnie nie odzywała, praktycznie udawała, że mnie nie ma, co było mi nawet na rękę. Elvina darła się na nią kiedy któryś z psów zesikał się na podłogę. Na obiad z okazji Thanksgiving Kyra przygotowała mnóstwo żarcia, upiekła indyka, przyrządziła dwie blachy makaronu; z

serem i pomidorami, zrobiła sałatkę z granatem i grzybami, zieloną fasolę w sosie cytrynowym, pieczone słodkie ziemniaki, smażoną marchew z koprem, babkę dyniową, tartę wiśniową i karmelową, tort czekoladowy itd. Obiad szybko przemienił się w wielką imprezę, na którą przyszło około 60 osób, których nikt nie znał, prawdopodobnie mieszkańcy *tent town*, którzy zaraz skierowali się do stołu, więc wraz z Bruce'em chwyciliśmy za wielkie talerze i zaczęliśmy upychać na nich ile się dało, po czym nakryliśmy to wszystko folią i schowaliśmy do naszej prosektoryjnej chłodziarki i wróciliśmy do stołu po porcję na teraz. Przez trzy kolejne dni chodziliśmy pękaci z przejedzenia. Kyra siedziała pod ścianą pijana, na sztucznej trawie, którą wyściełana była podłoga garażu, bardziej uwalana niż zwykle, z ciastem na łokciu i smugą dżemu wiśniowego przetartą przez szyję i z zadowoleniem klepała psy, które uwijały się pod stołem pochłaniając wszystko co z niego spadło i skamląc o lepsze, które wiedziały, że goście mają na talerzach.

Zamierzałam zostać tam tylko przez parę dni, ale wiele osób, które rzekomo również wpadło na kilka dni, mieszkało tam już od miesięcy bez zamiaru zmiany adresu. Niektórzy coś napomykali o wyprowadzce, Bruce i Mike znaleźli jakiś penthouse tuż za rogiem, który w ich opowiadaniach brzmiał niewiarygodnie, ale termin przeprowadzki był bardzo nieokreślony. Kiedy w końcu udało mi się strawić świąteczną rozpustę spakowałam walizkę i wyprowadziłam się do Hollywood. A co tam. Poza tym zaczynało zawiewać chłodem, a im wyżej, tym cieplej.

\*

Jeśli być wariatem to tylko tutaj. Na początku dziwiły mnie kobiety z papilotami na głowach w metrze, w różowej peruce i różowych rajstopach, ludzie salutujący do swego odbicia w czarnej szybie, jakby za chwilę mieli dokonać zamachu terrorystycznego, ludzie tańczący i śpiewający w autobusie do czegoś co mieli grane w słuchawkach, tłumy naćpanych ludzi. Ludzie gadający do siebie - to jest obowiązkowe. Po jakimś tygodniu sama zaczęłam gadać, złorzeczyć na los, na miasto, że wysiadłam na złym przystanku, że autobus nie nadjeżdża, bo jeśli chodzi o komunikację miejską, to panuje tu nonszalancja. Są przystanki z numerem autobusu i ogólnym kierunkiem np. Culver City co oznaczać może prawie wszystko, ale nie ma informacji o trasie, listy przystanków czy godzin odjazdu. Więc stoi się w upale bez wiaty i nie wiadomo ile czekać, żeby było wiadomo, że

nie ma co czekać. Trzeba stać i mieć nadzieję. Na początku pytałam towarzyszy niedoli kiedy coś nadjedzie, mając nadzieję, że wiedzą więcej ode mnie, ale zawsze odpowiadali: „It will come eventually. I hope.” Z metrem było trochę lepiej. Jeździło rzadko, ale było wiadomo kiedy. Wielkie stacje do których zjechać trzeba było po wielu stopniach, do samego środka ziemi, były wiecznie puste i wszystkie identyczne i bezduszne, wybudowane jakby od niechcienia. Reklamy w metrze były po hiszpańsku i faktycznie rzadko pojawiał się w nim ktokolwiek inny poza Meksykanami i mną. Ludzie często zagadywali mnie, proponowali małżeństwo albo pytali skąd jestem. Odpowiadałam wtedy, że z Niemiec.

\*

Jednego popołudnia Mike zabrał mnie na przejażdżkę motorem. Lubiłam Mike'a, bo mało mówił i miał motor. Po wyjeździe z terenów zabudowanych trochę bardziej zrozumiałam o co chodzi w tym mieście, zobaczyłam jego oblicze dziksze o piach, kaktusy i góry. Wiatr wdzierał mi się pod kask, który był sporo za duży i myślałam, że spadnie mi pod naporem powietrza. Trzymałam się kurczowo Mike'a, który właściwie miał mnie tylko podwieźć do biblioteki, ale kiedy byliśmy już przy 5th i Grand, wykrzyczałam mu do ucha, że *the hell with the library, let's just go* i pomknęliśmy przed siebie, nie wiem nawet dokąd. Chciałam żebyśmy nigdy się nie zatrzymali. Pomyśleć, że prawie przegapiłabym to wydarzenie, Mike się spóźniał, a ja stałam tam gdzie się umówiliśmy, na Towne Avenue, gdzie mieszkałam przez chwilę zaraz po swoim przyjeździe do LA i ponieważ kuchenny garaż był zamknięty, stałam wprost na ulicy i czytałam książkę. Postanowiłam dać mu czas do 15.00, a przyjechał o 14.58.

\*

Mój nowy pokój na Yucca Street znowu nie był wcale pokojem tylko połową pokoju, tym razem brakowało jednej ściany w miejsce której zawieszona była brudna zasłonka. Na wyposażenie tego przybytku składało się krzesło i materac z kocem, który był kiedyś blado-różowy, ale teraz po prostu szary. Całe to legowisko pachniało osobliwie, co na początku mnie zaniepokoiło, bo nieokreśloność woni sugerowała albo silne zapuszczenie albo uporczywe odkażanie. Po kilku dniach zapach ten stał mi się



jednak bliski, oswojony i wiedziałam, że po powrocie do domu nie będę go sobie w stanie ani przypomnieć, ani odtworzyć, co na zapas napełniało mnie tęsknotą. Okna wychodzące na parking ciągnęły się od ściany do ściany i pomimo żaluzji, z samego rana do pokoju wpadała bomba słoneczna, budził mnie własny pot i światło. Leżałam tak chwilę zastanawiając się czy jeszcze przez chwilę to zniosę, czy już nie. Zrywałam się w końcu i natychmiast zaczynało mi się kręcić w głowie, nogi uginały się pode mną, więc siadałam znowu gorączkowo ściągając z siebie warstwy nałożonych wieczorem ciuchów, bo noce były chłodne. Potem zwykle leciała mi krew z nosa, więc wtykałam zwitek papieru toaletowego w problematyczną dziurkę i patrzyłam przez okno do utraty tchu i krwi. Pod moim oknem stał zaparkowany kamper z napisem [1mintuteHIVtest.com](http://1mintuteHIVtest.com). Po wysmarkaniu zakrzepniętych resztek szłam szykować śniadanie, które składało się z odgrzewanej zupy Campbell's i wafli ryżowych z topionym serem. Johan u którego mieszkalam wychodził do pracy na 5, więc prawie zawsze byłam sama w domu, co bardzo sobie ceniłam. Brałam długie poranne prysznic w obskurnej łazience, która nie wiedziała co to szczotka ani detergent. W ogóle całe mieszkanie było kompletnie zapuszczone brudem, który dla osobnika przebywającego w jego otoczeniu dłużej, staje się niewidzialny, potrzeba dopiero świeżego oka powleczonego soczewką kontaktową, żeby dojrzeć jego historię i staż. Około 13 uznawałam, że już pora wypełznąć wprost na Hollywood Blvd., zmierzyć się z brakiem planu i słońcem. Wracając do domu zachodziłam do The Frolic Room na piwo albo na dwa. Bar był zaraz przy wyjściu z metra i niegdyś przesiadywał w nim Bukowski. Nieco dalej znajduje się Musso and Frank Grill, kolejny z jego ulubionych lokali. W sumie dziwne, że upodobał sobie akurat Hollywood Blvd. z chmarami turystów, sklepów z pamiątkami, udawanymi Marilyn Monroe, które są nawet niezłe i z którymi można zrobić sobie zdjęcie za jakąś enigmatyczną kwotę. Są też X-mani, Spiderman i inne marvelowskie stwory. Dziwna praca. Zastanawiałam się czy oni wciąż starają się zostać aktorami czy już się poddali. Wyobrażałam sobie te dziewczyny, które co rano przed zakurzonym lustrem wyrysowują sobie makijaż, nakładają czerwoną szminkę i pieprzyk i zakładają perukę i ciekawa byłam czy jeszcze je to bawi, już już wkurwia czy może doprowadza do płaczu. Ostatecznie skończyć jako Marilyn to też nie najgorsza sprawa. W The Frolic Room pracował bardzo dystyngowany kelner, zawsze w białej koszuli i czarnym fraku. Siadywałam przy barze, naprzeciw lustrzanej witryny pełnej alkoholi i piłam gapiąc się na siebie. Inni też się na mnie gapili, bo jest tak, że jak dziewczyna

pojawia się sama w knajpie, siada przy barze i nie wyjmuje telefonu, to sprawa robi się podejrzana i zawsze znajdzie się facet, który podejdzie i zapyta czy wszystko w porządku i czy nie potrzebuje ona towarzystwa. Poklepie bratersko po ramieniu i powie, że jakby co to on siedzi na drugim końcu baru, o tam, gdzie już wiadomo, żeby nie patrzeć. The Frolic Room to był mój jedyny przystanek na Hollywood, raczej szłam do domu, rozdeptując pilnie każdą gwiazdę na Walk of Fame i wypatrując tych pustych, w które wpisane zostanie kiedyś moje nazwisko.

\*

Poprzedniej nocy nie mogłam zatamować krwotoku z nosa aż skończył się papier w łazience, myślałam, że może się wykrwawię i zastanawiałam się czy mam w ubezpieczeniu sprowadzenie zwłok do kraju. Słońce przypiekało trochę słabiej, w domu śmierdziało spalonym obiadem. Kamper z parkingu za oknem zastąpiony został innym, tym razem z napisem „Condom Nation”. Bruce koniecznie chciał mnie zabrać na imprezę, ale nie bardzo miałam ochotę, choć sama też nie chciałam być. Umówiliśmy się, że przyjadę po niego na Towne, ale na miejscu stwierdził, że nie ma barów na DTLA, położyliśmy trochę, marudziłam, bo czułam ostatnie rżenie pyłu w nosie, ostatnie kalifornijskie suchoty i chciałam je jak najlepiej wykorzystać. Znaleźliśmy przypadkiem stowarzyszenie artystów Art Share LA, do których pisałam przed przyjazdem, ale pozostawili mnie wtedy bez odpowiedzi.

„Wanna see some art?” zapytałam Bruce’a. Bo panienki stały przed stolikiem zastawionym winem czyli, że szykuje się wernisaż, szykuje się party. Staliśmy w garażu (wszystko tu zaczyna się od garażu), a w głębi widać było oświetloną salę pełną sztuki. Podeszliśmy do dziewczyn pewnym krokiem, bo umiem wchodzić na wernisaż; najpierw sięga się po kieliszek wina, ale niespiesznie, nonszalancko, nie okazując niepokoju, że może nie starczyć. Potem niby ogląda się prace, a tak naprawdę rozgląda się za znajomymi, bo wernisaż nie jest od oglądania, tylko od chłania. Prac się nie komentuje, bo w pobliżu może być artysta albo jego/jej znajomi. Umiem to.

Weszliśmy do garażu, rozejrzałam się po miejscu w którym miałam żyć i tworzyć podczas mojego pobytu w LA.

„How can we help you?” zapytała jedna z dziewczyn, ubrana zbyt elegancko jak na garaż. Zadowolenie sprawiło mi fakt, że nie jestem nią. Spojrzałam na nią zaskoczona, tego

pytania się nie spodziewałam, nie bardzo w sumie wiedziałam co odpowiedzieć, więc powiedziałam zgodnie z prawdą:

„We’re here to see some art.”

„Sorry, that’s a private opening” poinformowała nas, marszcząc twarz w przeproszającej satysfakcji.

Z niedowierzaniem spojrzałam na wino, które też było private.

„OK, they just said NO to me one more time, we’re outta here.” mruknęłam do Bruce’a i wypchnęłam go na zewnątrz. Byłam wściekła, ale jednocześnie rozbawiona. Rozbawienie mi przeszło na stacji Little Tokyo, na którą zaprowadził mnie Bruce, a z której dopiero się wydobyłam i na którą przyszliśmy, żeby dotrzeć na Vermont, skąd dopiero przyjechałam. Zaczęłam krzyczeć, że traci mój czas i żeby spieprzał, więc dał mi pół ciastka z tym swoim medycznym zielskiem. Bruce był kucharzem na UCLA i w wolnych chwilach piekł na boku.

„Why half?” zaprotestowałam, więc wydzielał mi po kawałku jak ptaku, aż w końcu zjadłam całe, było smaczne.

„I love to be stoned on the subway” - wyznał Bruce kiedy mknęliśmy już głęboko pod ziemią, dźwigając nad głowami to miasto, które jutro miałam opuścić, ale na razie wlażłam w nie głęboko i mknęłam jego żyłami pod górę na zbocza porośnięte cyprysem i palmą i kurczakiem z różną; w pogoni za ciągle trochę jeszcze lepszym kawałkiem rajku. Z Los Angeles jest tak, że wiadomo, że zawsze może być jeszcze trochę lepiej niż akurat jest. W końcu poczułam powoli następujące rozrzedzenie organów wewnętrznych i miało to coś wspólnego z poczuciem czasu, którego jak nagle mi się wydało, miałam jeszcze bardzo dużo, wręcz całe godziny, dziesiątki godzin składających się na upośledzoną dobę. Wysiedliśmy na Wilshire i Western, a raczej wyciągnęłam Bruce’a z kolejki, prosto w światła i w neony i szliśmy nie wiedząc dokąd, aż jemu się przypomniała ulica o której ja w tym samym momencie myślałam, że „kto skręciłby w ten ciemny zaułek, skoro możemy być tu; na śliskiej od światła Vermont”. Ale właśnie tam mnie zaciągnął, do piwnicy czegoś co było chyba blokiem mieszkalnym i powitał nas d’Artagnan z szablą i zapytał czy mam osiemnaście lat. Skłamałam, że tak i wspieiliśmy się po schodkach na piętro o trzech drzwiach. Żeby zrobić zadość swoim kompulsywnym odruchom, otworzyłam środkowe. Pokój wyglądał jak XIX burdel. Wtargnęliśmy zadyszani, skrzypiąc drewnianą podłogą i lustrując toaletkę z ciężkim pudrem i przepierzeniem zza którego wyszła kobieta o jędrnych, lekkich udach i usiadła

na wąskim łóżku zakładając nogę na nogę; miała pończochy jakie postanowiłam sobie kupić natychmiast, a dalej głęboki dekolt pełen piersi i obietnic i słodkie usta którymi, ku naszemu przerażeniu zapytała czy ma się dalej rozbierać i nie czekając na odpowiedź pozbyła się gorsetu.

„You want more?” - zapytała. Sure we wanted more. I wtedy ona wykonała tajemny manewr, który złamał łóżko wpół i spomiędzy poduszek i falban wychynęły schody prowadzące do baru. Wypiliśmy gin z tonikiem. Jakaś pijana dziewczyna zdjęła majtki, kucnęła i wysikała się na podłogę. Struga moczu, pod wpływem wysokiego ciśnienia, spieniła się przy zetknięciu z miękkim dywanem, rozprysnęła jej się trochę po łydkach. Skończyła. Majtki w górę, otrzepała nogę i to było na tyle.